

57 w 2018 (57)

# O tradycji i kursach wigierskich

**Data publikacji: 23.08.2018 / Autor: Redakcja**

*Dzisiejszy przedruk jest znacznie starszy od pozostałych dotychczas publikowanych na łamach Azymutu. Nic jednak nie stracił na swojej aktualności, szczególnie w sezonie kursów instruktorskich w ZHR. Słynne kursy wigierskie i związane z nimi środowisko odgrywało bardzo dużą rolę w przedwojennym harcerstwie, dlatego przypominamy artykuł **hm. Henryka G. Wechslera** z [londyńskiego „Harcerstwa” \(nr 1 z 1948 roku, przy okazji zapraszamy do archiwum NWH\)](#).*

Rozumiem, że rozpoczynając pisać o Wigrach i Wigierczykach jestem w sytuacji mówiącego ślepemu o kolorach. Nie dlatego, abym uważał, że niewigierczyk jest synonimem ślepego, albo że piękno barw można było poznać tylko nad Wigrami. Nie – wcale tego nie myślę. Jeżeli tak napisałem, to dlatego, że w przeważnym stopniu zagadnienie Wigier to zagadnienie tradycji i atmosfery. I dużej sztuki trzeba, aby przedstawić je komuś, kto tej tradycji nie zna i atmosfery tej nie przeżył.

Dlaczego więc piszę o tym? Przede wszystkim, aby choć nieudolnie udostępnić wszystkim to co osiągnęły Wigry. Wydaje się szczególnie ważne, aby w czasach rozproszenia chwytać każdą nić wiążącą i rozdmuchiwać każdą iskrę w skupiające Ogniska.

Po drugie dlatego, aby nawiązać do znanej już czytelnikom „Harcerstwa” działalności konspiracyjnej i powstańczej Wigierczyków i pokazać, skąd się wywodzą ludzie, którzy ją prowadzili.

Historia tej, początkowo tylko szkoły instruktorskiej, sięga roku 1926. W tym czasie na miejscu, nad jez. Wigry, odkrytym przez 22gą warszawską drużynę harcerzy, odbył się pierwszy obóz kursu instruktorskiego. Zapoczątkował on długi szereg corocznie w tym samym miejscu organizowanych, obozów instruktorskich Chorągwi Warszawskiej, z których ostatni obozował tam w roku 1939. Można w tym szeregu dwa wyróżnić okresy. Pierwszy – w którym ustalały się i gruntowały wigierska tradycja i owa przedziwna wigierska atmosfera, które stały się podstawą dalszych działań. Harcmistrze Lange, Kamiński, Piskorski, Ludwig, Sosnowski Witold – oto ci, którzy dokonali założenia podwalin szkoły wigierskiej. Nadali jej styl odrębny, wskazali i ustalili kierunek. Zrobili przytem więcej. Wychowali szereg młodszych pokoleń i przygotowali sobie następców (do grona najczynniejszych należeli harcmistrze: J. Drewnowski, R. Kaczorowski, J. Makowiecki, L. Makowski, H. Stomatello, M. Świąszkowski, J. Tyszka).

Ci następcy przejmą od nich później kierownictwo. Rozpocznie się drugi okres – okres rozbudowy wewnętrznej szkoły. Następcy – o mniejszej na ogół indywidualności osobistej, będą rozszerzali zarówno metodycznie, jak i pod względem techniki harcerskiej program wigierskiego szkolenia instruktorskiego, pogłębiać poziom ideowy i przygotowanie do samodzielnego wodzowania, potrzebnego coraz bardziej rozrastającej się ciągle Chorągwi. Ale tak skuteczne okazało się położenie podstaw, tak szczęśliwie wybrano kierunek zasadniczy – te mimo mijania lat, mimo zmieniania się ludzi – pojęcie wigierczyk nie traci nic ze swego pierwotnego sensu i treści, a przeciwnie nabiera jeszcze większej wartości i znaczenia. Tradycja i atmosfera zostają zachowane, formy ulegają rozbudowaniu. Najlepiej widać to na porównaniu schematu szkolenia. W latach 1926-27 całe szkolenie instruktorskie w Chorągwi ograniczało się do czterotygodniowego obozu instruktorskiego, po pomyślnym ukończeniu którego i przebyciu na miejscu prób, nadawany był stopień przodownika (odpowiadający późniejszemu podharczmistrzowi). W 1938 było już 5 faz szkolenia: kurs teoretyczny odbywany w Warszawie, trzydniowy kurs dyskusyjny w Domku Harcerskim przy ul. Saskiej, praktyka w innej drużynie, obóz wigierski i obóz zimowy w górach. Rozszerzył się program i zakres, wiele zagadnień zostało dodanych (obozownictwo zimowe), ale trzonem po dawnemu pozostał obóz wigierski. Tam odbywał się ostateczny proces kształtowania sylwetki przyszłego instruktora, tam krystalizowała się postawa młodego wodza harcerskiego.

Powtórzmy. Było rzeczą szczęśliwego dobrania elementów ideologicznych, właściwej, wysokiej atmosfery, stworzonej w początkowym okresie, że proces krystalizacji w kilkanaście lat później przebiegał tak samo jak na początku, że nigdy nie wytworzyły Wigry „starych” i „młodych”, że pojęcie wspólnoty przetrwało lata i dziś w rozproszeniu jest równie silne jak dawniej.

Dlatego nie kusząc się ani o napisanie historii szkoły wigierskiej, ani nie dając opracowania sposobu szkolenia instruktorów w Chorągwi Warszawskiej – wydaje mi się konieczne dla zobrazowania podstaw tej szkoły rozpatrzenie kilku zasadniczych czynników, które złożyły się na ów szczęśliwy amalgamat, na wspomniany wyżej trzon, jakim pozostał od początku do ostatka – obóz wigierski. Analizę będzie ułatwiał cytowany już wielokrotnie fakt niezmienności tej samej ciągle tradycji i jednakowej wciąż atmosfery. Utrudnieniem będzie (również już wspomniane) zadanie przedstawienia nieuchwytnych dosyć elementów, łatwych do pojęcia dla tych, co je przeżyli – ale trudnych do przedstawienia szerszemu ogółowi.

Przegląd podstawowych czynników, które złożyły się na powstanie i rozwój szkoły wigierskiej zacząć wypada od miejsca, w którym odbywały się obozy. Znajdowało się ono nad jedną z północno-zachodnich zatok jeziora Wigry, zwaną przed przybyciem wigierczyków w te strony Zatoką Hańczańską, później powszechnie zwaną Zatoką Harcerską. Była ona otoczona z trzech stron wysokim brzegiem

porosłym dość rzadkim starym lasem sosnowym. W jednym tylko miejscu brzeg opadał, stępując niskim łąkom i bagniskom nadbrzeżnym Czarnej Hańczy, która opodal obozowiska wpływa do Wigier.

Zatoka była odcięta od reszty jeziora wysuniętym daleko półwysp, ponad którym sterczały wieże kościoła wigierskiego. Obozowisko leżało w całkowitym odludziu. Prawie oddzielone od strony jeziora, od strony lądu zasłonięte było gęstą puszcza. Do najbliższej szosy (Suwałki-Sejny) wiodło parę kilometrów wąskiej drogi leśnej, pełnej wykrotów i wybojów. Nieliczni mieszkańcy najbliższej wsi – Cimochowizna – prędko stają się przyjaciółmi leśnych ludzi, mieszkających nad zatoką. Te kilka rodzin, nawpół rybaków, nawpół rolników – doskonale pasowało do krajobrazu. Wigierczycy dobrze wspominają ich spokojny, powolny temperament, ich uczciwość i prostotę. Na tle harmonijnego połączenia wód jeziora i silnych wysokich brzegów ludzie ci nie razili nigdy. Należeli do otoczenia.

Dwie cechy tego krajobrazu miały największy wpływ na przybyszów: surowe piękno jeziora, obramowane potężnym lasem i pierwotność. Jak okiem sięgnąć, nigdzie śladów bytności ludzi. W tych warunkach jedyny, akcent prac ludzkich rąk – wyciągnięte ku niebu z nad półwyspu smukłe wieże kościoła wigierskiego nabierał) cech symbolu, drogowskazu. Surowe piękno silnie działało na przybyszów z dużego miasta. Postawieni oko w oko z potęgą natury zaczęli odczuwać swą nikłość i to było zazwyczaj początkiem procesu przewartościowywania pojęć, który był potrzebny do zmiany skóry mieszczucha na leśnego człowieka. Proces ten przeżywał powtórnie każdy wigierczyk, gdy po dłuższym czasie pojawiał się znowu nad Wigrami.

Pierwotność tego zakątka dodawała dalszego bodźca zjawisku wewnętrznych przemian. Każdy, kto po przybyciu zatrzymał się chwilę na polance nad brzegiem, rozumiał, że dostał się w całkiem nowe warunki. W warunki, w których liczyć może tylko na siebie samego. Dookoła szumiała puszcza, na dole szemrało jezioro. Puszcza była bezdrożna i ogromna, jezioro głębokie i niezmierzone. Nigdzie chyba przysłowie: „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” nie przemawiało surowiej i poważniej.

Odczuwając w pełni piękno i pierwotny charakter zatoki pierwsi przybysze od razu ustalili, nowy na owe czasy, styl życia obozowego. Styl ten zwany puszczaństwem, opierał się na książce Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi” i charakteryzował się dążnością do możliwego szarmonizowania życia przybyszów z otaczającą ich przyrodą.

W obozownictwie puszczaństwo zaznaczyło się usunięciem różnych szczegółów, przejętych przez harcerstwo z obozownictwa wojskowego, które w puszczy raziły, lub były niepotrzebne. Znikły bramy, ogrodzenia, tabliczki z napisami, ścieżki

wykładane kamiem, emblematy z tłuczonej cegły itd. Pojawiły się totemy, tajemne, znane tylko wtajemniczonym, kręte dróżki, podobne dróżkom zwierząt leśnych. Ukryte w gąszczu namioty okładano mchem i porostami, aby je do otoczenia upodobnić. Obozowisko wtapiało się w las, który je otaczał. Mieszkańcy biegali półnaczy, z gołymi głowami i zawsze na bosaka (takie było prawo), mało przypominając zawsze dbałych o wygląd zewnętrzny, chłopców z wielkiego miasta.

Puszczaństwo sięgało dalej. Likwidowało bezlitośnie wojskowe formy porządku dnia i wewnętrznej organizacji zajęć. Nikt nie grał pobudki na trąbce, nikt nie stawał w wyrównanych szeregach zbiórek, nic było raportów i meldunków. Miejsce tych resztek wzorów wojskowych zajął obrzęd. Wywiedziony ze starostwoiańszczyzny stawał się pomostem między życiem leśnych ludzi a otaczającą ich puszczą. To życie, stopione z tym otoczeniem, wydawało się być jedną wielką pieśnią na cześć Stwórcy. Prosta modlitwa poranna, odśpiewana przed ukrytą w konarach potężnej sosny kapliczką z pięknym w złotogłowie tkanym wizerunkiem Matki Boskiej – wstrząsała głębią i prawdą.

Cały dzień nasycony był symboliką potężną. Poranne mycie się wydawało się powitaniem jeziora. „Wodzowie mówią” (chwila zastępująca rozkaz dzienny) koncentrowała w zbieżnych liniach siedzące zastępy na omawianym przez wodzów porządku dnia.

Ognisko przemawiało głębszym niż zwykle wyrazem. Pozdrawiano się ruchem ręki, której rozczapierzone palce symbolizowały rosochate konary dębu, mówiono sobie – ty – nikt nic używał tytułów organizacyjnych. Można było przebyć cały kurs i nie dowiedzieć się, kto był harcmistrzem a kto nie.

Cały program kursu, choć w treści nie odbiegał (przynajmniej początkowo) od programu zwykłych kursów podharc mistrzowskich w całej Polsce, przecież był przepojony owym puszczańsko-obrzędowym duchem. Zarówno w nazwach poszczególnych zajęć, jak w sposobie ich przeprowadzenia stosowano prostotę i podkreślano odrębność od form życia miejskiego. I choć treść tych zajęć była taka samo, jak wszędzie, to jednak chłopcy biegnący na igry (tak nazywały się gry i zabawy), czy słuchający, z dzienniczkiem na kolanach, jak „Chudy Jastrząb mówi o gwiazdach” byli skłonni nie pamiętać, że w pierwszym wypadku chodziło o t.zw. wychowanie fizyczne, a w drugim o terenoznawstwo.

Program kursu był surowy. Wymagał od uczestników wysiłku dużego. Tym bardziej, że nie dbano o niczyją wygodę. Nielicznych wykładów słuchano siedząc pod jakimś drzewem. Wszystkie zajęcia odbywały się bez względu na pogodę, a pogoda bywała często deszczowa i zimna. Pracy było dużo i musiała ona być wykonana prędko i dobrze. Cały przebieg dnia był zapisywany w dzienniczku, przeglądany co porę dni przez któregoś z Wodzów. Cały dzień upływał w radosnym pośpiechu, ale gdy

wreszcie wieczorem można było zawinąć prawie nagie ciało w koc i siąść przy ognisku – po gawędach i pieśniach – jakże przyjemnie było czynić rachunek sumienia za dzień ubiegły i móc odczuwać wdzięczność dla Stwórcy za to, że stworzył Puszczę i pozwolił w niej żyć.

Wspaniale kwitła nad Wigrami technika harcerska. Czy w budowie urządzeń obozowych, które stosownie do tradycji odbiegały daleko od pionierki obozowej, czy w takim np. kucharstwie puszczańskim – (pamiętacie chleb na patyku, rybę, smarzoną na desce, lub mięso w gorących kamieniach?) – starano się pokazać uczestnikom coś nowego, lepiej przystosowanego do charakteru leśnego życia. Nie obawiano się zastępować desek krótko przyciętymi żerdkami, cegieł – kamieniami, łączonymi gliną. Tak zbudowane urządzenia były wprawdzie mniej wygodne i trudniejsze do wykonania, ale lepiej pasowały do puszczańskiego obozowiska i co ważniejsza – nie każdy patałach potrafił je wykonać.

I nawet lepiej, że gliniana kuchnia wyglądała mniej elegancko od ceglanej, a ukryty pod mchem dół na śmiecie wyglądał skromniej od blaszanego śmietnika. Nad Wigrami uczyli się wszyscy, że prawdziwa wartość rzeczy kryje się w użyteczności codziennej, a tu wygląd zewnętrzny mniejsze ma znaczenie. Była to zresztą zasada, która nie tylko do materialnych przejawów życia wigierskiego się odnosiła. Mimo dużego nacisku, kładzionego na formę, mimo całego szeregu nowych form, wprowadzonych tu życie, oceniano zjawiska i ludzi według ich wewnętrznej wartości. O ludziach będzie jeszcze mowa niżej. Tu trzeba podkreślić tylko, że przy wytwarzaniu nowego stylu życia obozowego uniknięto sztuczności, uniknięto przesady i pompatyczności. Puszczańskie zwyczaje i obrzędy wyrażały w nowej (podówczas) formie, tkwiące w systemie skautowym głęboko, pierwiastki. Szczęśliwym trafem nie przerodziły się one nigdy w manierę i pozostały proste i surowe, jak przyroda, z której wzięły początek.

Cała wewnętrzna organizacja kursu ujęta była w regulamin. Nie nazywał się on tak oczywiście – nigdy. Były to prawa Puszczy w lakonicznych zdaniach ustalające nie tylko wewnętrzny porządek obozu, ale również całą hierarchię, odpowiedzialność i prawa wszystkich mieszkańców obozowiska. Język nie był prawniczy. „Pierwszym prawem Rysiów, Żbików, Lisów i innych gromad zamieszkujących brzeg wigierski jest: Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. A drugim – Wszyscy myślą, jeden mówi, wszyscy robią. A trzecim – Co powiedział Stary Wilk – powiedział (cytowane z pamięci).

To było w zasadzie wszystko. Następował jeszcze porządek dnia i kilka zdań objaśniających wyżej podane prawa.

Spróbujmy przyjrzeć się tym prawom bliżej. Przede wszystkim dwa pojęcia : wspólnota i przewodnictwo. Z jednej strony „Jeden za wszystkich, wszyscy za

jednego” z drugiej – „Co powiedział Stary Wilk – powiedział”. I znowu: „wszyscy myślą... wszyscy robią ... ” a przecież tylko „jeden mówi”. To przeplatanie się pierwiastka wspólnoty z pierwiastkiem wodzowskim jest dla Wigier niesłychanie charakterystyczne.

A była to niebylejaka wspólnota i wodzowie o niebylejakiej powadze. Wspólnota wychodziła daleko poza dni wigierskie, przenosiła się do Warszawy i nadawała całemu gronu instruktorskiemu charakter zwartej gromady, pracującej w jednym kierunku. Obejmowała nie tylko teren harcerski, panowała na wszystkich płaszczyznach spotkań wigierczyków. Przetrwiała wszystkie próby. W czasie pokoju nie zachwiały jej nigdy trudności codziennej pracy harcerskiej, ani konflikty organizacyjne. Konspiracja i powstanie ukoronowały ją najwyżej.

Dużo trudu i troskliwej uwagi wkładano w utrzymanie takiego stanu. Najmłodszy uczestnik obozu wigierskiego od pierwszych chwil spędzonych w obozie czuł się współobywatelom nowej społeczności. Społeczność ta stawiała zawsze wobec zadań zespołowych. Nigdy nie mówiono: Rób tak i tak, bo inaczej nie ukończysz kursu. „Stan twego dzienniczka odbije się na naszej pracy” – napisał kiedyś w moim zeszyciku Czarna Pantera, gdy zażądał ode mnie większej staranności w notowaniu. Ileż razy potem natrafiałem na tę uwagę, gdy sam prowadząc z kolei kurs wigierski, przeglądałem po raz setny wytarte od długiego używania strony mego starego dzienniczka.

Nic więc dziwnego, że każdy czuł się odpowiedzialny za całość. Każdy szukał lepszego rozwiązania powierzonej mu pracy i był tu tym „szukaniu lepszego” przez wszystkich wspierany.

Oto Piskorz Jelenie Rogi powierza godność strażnika ogniska młodzieńcowi, który ulepszył, dotąd stosowany, sposób pisania sprawozdania z kolejnego dyżuru w kuchni. Potem, gdy chłopiec wyrósł na mężczyznę, zdarzało mu się czasem w życiu, że znacznie wyżsi dostojnicy chwalili czy wyróżniali go. Ale nigdy nie był tak wzruszony i nagrodzony, jak w ten wigierski wieczór, gdy słowa wodza pozwoliły mu dorzucać drzewo do ogniska. Przez jeden wieczór. Bo następnego ogniska pilnował nowy strażnik, który znowu coś lepszego znalazł, znowu czymś nowym całość wzbogacił.

Trudno chyba o lepszą lekcję pracy zespołowej, o bardziej pokazowy przebieg działania zespołu skautowego, w którym kolejno jedni drugim bez zazdrości i złej krwi oddają palmę pierwszeństwa i przewodnictwo.

Ta zasada wysuwania na czoło najpożyteczniejszych dla całej wspólnoty jednostek była podstawą poważania, jakim cieszyli się wodzowie wigierscy. Nie kwestia nominacji, czy stopnia lub funkcji, ale wyczuwana przez wszystkich wysoka wartość osoby wodza stanowiła o jego pozycji. Zdarzali się nad Wigrami ludzie przypadkowi.

Czasem bardzo wykształceni lub poważni, albo wysoko w hierarchii organizacyjnej postawieni. Jeżeli nie wczuli się w atmosferę wigierską – mijali bez śladu. Jeżeli potrafili się dopasować, sami ustępowali bardziej w danej chwili potrzebnym. Stąd brały się niezrozumiałe dla obserwatorów postronnych – zjawiska manifestacyjnego niemal podkreślania swojej drugoplanowości przez starych wigierczyków w stosunku do każdorazowego komendanta chorągwi czy wodza kursu.

Wodzostwo w tych warunkach nakładało tylko obowiązki, nie dawało żadnych praw, poza prawem do większej pracy. Zasada ta obowiązywała we wszystkich płaszczyznach. Jeżeli wyżej, myśląc o ogóle uczestników, starałem się wykazać, że nikomu nad Wigrami nie ułatwiano życia, muszę teraz podkreślić, że wodzowie kursu nie pozwalali sobie na najmniejsze, już nie tylko przywileje, ale nawet skądinąd zrozumiałe udoskonalenia w dowodzeniu. Nie było nigdy nad Wigrami gońców, ordynansów, czy łączników. Nie było ulg w ubiorze czy trybie życia. Chyba tylko długo w nocy paląca się lampa w samotnym namiocie komendanta obozu, lub prawo niezachowywania chwil spoczynku poobiedniego wyróżniały prowadzącego od prowadzonych.

Ale za to nie było nad Wigrami kar. Wypadki drobnego nawet nieposłuszeństwa były niesłychanie rzadkie – dosłownie kilka w przeciągu kilkunastu lat. – „Co Stary Wilk powiedział – powiedział”.

Wracam jeszcze raz do zagadnienia jednoczesnego występowania wspólnoty głębokiej i mocnego przewodnictwa. Jak wytłumaczyć istnienie równoległe obu tych czynników? Nasuwa się tu jedno tylko porównanie. Porównanie zaczerpnięte z obyczajów kraju, w którym obecnie duża część z nas żyje [Zjednoczonego Królestwa – przyp. red.]. Kraju, w którym równoległe żyją stare formy królestwa z nowoczesnymi formami demokracji, w którym mądre umiarkowane stosowanie niepisanej konstytucji pozwala uniknąć krótkich spięć i przesileń, jakże częstych w państwach o organizacji pozornie. znacznie szczegółowiej sprecyzowanej i bardziej przejrzystej.

Porównanie jest za wysokie. Rozumiem to doskonale. Ale jego istota dotyczy rozumnego stosowania uprawnień przez przodowników i głębokiego poczucia współodpowiedzialności przez ogół. A to było podstawą systemu wigierskiego. I wysoka karność wewnętrzna. I hierarchia płynąca z tradycji. I atmosfera pierwszeństwa celów zespołowych przy indywidualnym charakterze jednostek.

Cóż pozostaje jeszcze do dodania? Że szkoła Wigierska miała swoje wady? Pewnie, że miała. Nie próbuję ich tu wyliczać, ani usprawiedliwiać. Ograniczę się tylko do uwagi, że wigierczycy, jako duży zespół (przez kolejne 11 obozów wigierskich przewinęło się około 600-700 uczestników) posiadali – tak jak wielkie miasta – swoje peryferie. Niektórym z tych nielicznych peryferyjnych jednostek z całej szkoły

wigierskiej pozostał spryt życiowy, umiejętność chytrego radzenia sobie we wszystkich okolicznościach i pchania się łokciami. Albo nadmierna zaczepność i „bojowość”. Albo lekceważenie wszystkiego co nie miało stempla własnego gniazda.

Nie martwmy się zbytnio tymi podmiejskimi okolicami. Okalały one wąziutkim pasemkiem szerokie żywe pulsujące centrum – harmonijnie rozbudowane i warte – jak mnie się zdaje – zwiedzenia.

Wybierajmy na nasze obozowiska instruktorskie możliwie pierwotne miejsca. Rozwijajmy puszczaństwo i obrzędowość. Kultuwujmy uczciwą technikę skautową. Podtrzymujmy ducha istotnej wspólnoty. Opierajmy wodzostwo na prawdziwych wartościach. Stosujmy rozumnie puszczańskie prawa – wszyscy za jednego – jeden za wszystkich i co powiedział Stary Wilk – powiedział – a oddamy duchom poległych Wigierczyków hołd najwyższy, hołd Ich dziełu, któremu poświęcili swe życie.

### Redakcja

Zastęp służbowy oddelegowany do poszukiwania artykułów w wartościowych miejscach, wypytywania władz o praktyczne porady oraz znajdowania odpowiedniego cytatu na dowolną okazję.